

Podstęp.

Markiza Annette de Renneon wpadła jak bomba do swej przyjaciółki, baronowej de Sangerie i śmiała się do rozpuku, ściskając baronową i całując w uniesieniu jej świeże policzki.

— Co się stało, Annette? — spytała baronowa, która, znając dobrze swą uroczą przyjaciółkę, wiedziała dobrze, iż tak ekspansywna wesołość musiała być wywołana nieladajakiem zdarzeniem.

Równie roześmiana oświadczyła jej Annette przed miesiącem, że zdradziła swego męża z zemsty, i tylko raz jeden, gdyż taki jest głupi, zazdrosny — a niewierny.

Tym razem Annette zawołała:

— Wolna jestem! Wolna! Uratowana!

— Jak to uratowana? Od czego?

— Od tego starego gburą! Rozwodzę się, czy rozumiesz?

— Ależ twój mąż nigdy się na to nie zgodzi.

— Teraz musi. Mam dowody!

— Więc zdradzał cię?

— Tak, właśnie przed chwilą, bo tak chciałam.

— Anetko, nic nie rozumiem. Opowiadaj wreszcie wszystko.

— Po to przyszedłam do ciebie. Posłuchaj! Podejrzewałam, że mój szanowny małżonek ma kochankę, i usiłowałam nawet go śledzić, ale był tak zręczny i przewidujący, że nie udawało mi się przyłapać go na gorącym uczynku, ani dowiedzieć się, gdzie te uczynki popełnia — znajomości z różnemi niewiastami nie byłyby dostatecznym motywem do rozwodu — rozumiesz chyba?

— Doskonale...

— Uprosiłam więc mego brata, aby zapoznał się z tą, przeciwko której kierowały się wszystkie me poszlaki, i wy dostał jakoś jej fotografię, oraz dokładnie poznał jej wady i zalety, budowę ciała, sposób ubierania — słowem, wszystko.

— Ależ w tym celu brat twój musiał chyba...

— No, oczywiście, ale uczynił to bardzo chętnie — Clarisse (tak bowiem nazywa się ta dama), jest śliczna i ponętna, więc nie sprawiło to braciszskowi przykrości. Z uzyskaną fotografią i znajomością Clarissy udałam się do pewnego agenta, podejmującego się za sułtem wynagrodzeniem każdego dzieła. Dałam mu fotografię, scharakteryzowałam tę damulkę i zaproponowałam parę tysięcy franków za wyszukanie mi i przysłanie w charakterze służącej, niewiasty, możliwie bliźniaczko podobnej do Clarissy.

Pojął wszystko w lot. Poleciał mi dowiedzieć się jeszcze jakich perfum używa Clarissa i co najchętniej jada. Wynagrodzenia żądał dopiero po udanym wyniku planu. Po trzech dniach zjawiała się u mnie śliczna, wysoka dziewczyna, czarnowłosa, zalotna i ujmująca w obejściu i powierzchności.

Zmieszana, mówiłam jej „panienko“.

— Pani będzie łaskawa mazywać mnie poprostu Róża.

— Czy wiesz, w jakim celu chcę cię zgodzić?

— Wiem, proszę pani.

— Uprzedzam cię, że mój mąż jest niezbyt młody i wcale nieladny. Czy cię to nie przeraża?

— O, nie, proszę pani. To ósmy rozwód będę przeprowadzała — przyzwyczaiłam się.

Ośluśniałam.

— Wiesz też, ile czasu ci potrzeba?

— Jeszcze nie, proszę pani. Muszę zobaczyć pana, poznać jego temperament — wtedy odpowiem. A czy była pani łaskawa dowiedzieć się o perfumy i potrawy?

— Tak. Werwena. A odpowiednią kolację podamy, gdy będzie pora. Ma ona przecież podniecić mego męża przypomnieniem rozkosznych chwil u boku tamtej.

— Dobrze, proszę pani. Werwenę nawet dość chętnie używam.

Róża objęła swe obowiązki, a spełniała je tak zręcznie, jak żadna dotąd pokojówka. Odrazu przy obiedzie widziałam, że mąż zwrócił na nią uwagę.

— Nowa pokojówka?

— Tak. Poleciła mi ją baronowa de Grangerie. — odpowiedziałam.

— Ładna dziewczyna.

— Tak uważasz?

— No, tak — jak na służącą...

Triumfowałam! Połknął haczyk!

Tego samego wieczoru Róża zapewniła mnie, że w ciągu piętnastu dni wypełni swe zadanie, gdyż „Pan jest bardzo łatwy“.

— Jak najprędzej, moje dziecko! — namawiałam.

— Pani rozumie, że muszę stawiać pewien opór! — z godnością wytłumaczyła się pseudo-pokojówka.

Odtąd mąż mój zaczął przesiadywać w domu, mnie natomiast po tylu latach sprzeczek pozwalał wychodzić na spacer, do teatru i na koncerty. Chętnie korzystałam z tego i pozostawiałam go na długie godziny... swobodnego.

Po dziesięciu dniach Róża szepnęła spokojnie, pomagając mi przy rozbieraniu:

— Już się stało, proszę pani.

Trochę się zmieszałam i bezsensownie spytałam:

— No, i jak?

— Bardzo dobrze, proszę pani. Już od trzech dni pan nie dawał mi spokoju, ale jeszcze nie ustępowałam. Dzisiaj uznałam, że jest już pora. Kiedy życzy sobie pani zastać nas in flagranti?

— Może... możeby tak w czwartek?

— Dobrze, proszę pani. Aby być pewną swego, w ciągu tych trzech dni nie pozwoliłam na żadną poufałość. Zechce pani naznaczyć godzinę.

— O piątej po południu?

— Jak pani każe. A gdzie?

— W pana pokoju?

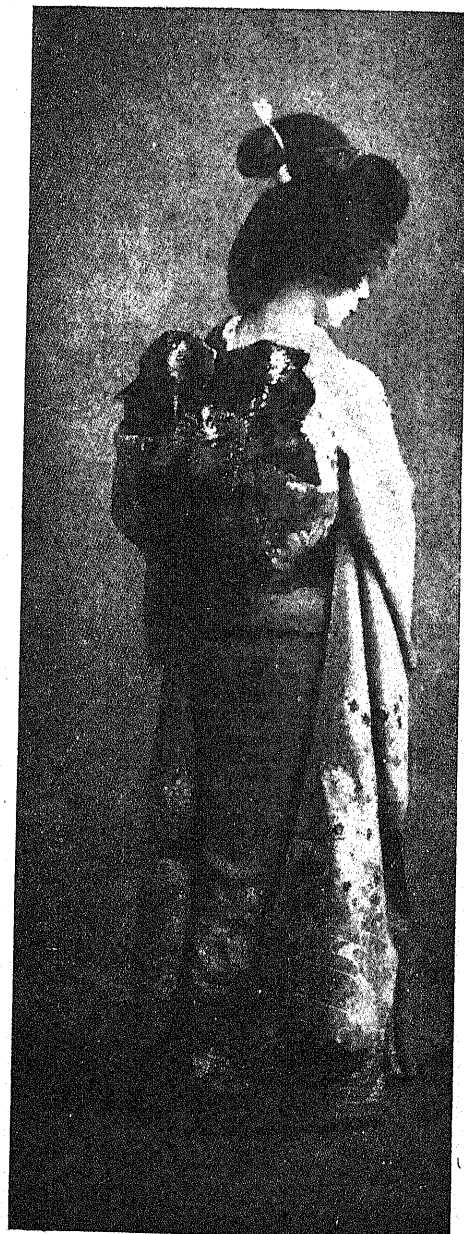
— Już wiem wszystko, proszę pani.

Dziś po śniadaniu wyszłam, ściągnęłam rodziców, wujaszka d'Orvelin, sędziego Raplet, przyjaciela męża, i adwokata P. — mego przyjaciela. Nie mówiąc nic, poprowadziłam ich aż do drzwi pokoju męża i — otworzyłam je. Ach, żebyś widziała! Trzymał Różę w objęciach, i przerażony patrzył na nas. Tak głupiej miny nie zdarzyło mi się dawno spotkać. Róża była niezrównana! Płakała rzewnie i szybko odziewała się najniezręcznie, jak mogła — i coraz mniej przez to osłonięta. Gdybyś kiedykolwiek jej potrzebowała, polecam ci ten skarb! Ojciec chciał pobić tego mędrzika! A ja narzeczcie jestem wolna!

Anetka zatańczyła z radości na środku pokoju, a baronowa z wyrzutem szepnęła:

— Czemu mnie nie zabrałaś ze sobą, żeby mi pokazać tę farsę?

Tłum. Ir.



Japonka w stroju narodowym.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 13 lutego 1927 roku.

Nr. 7.

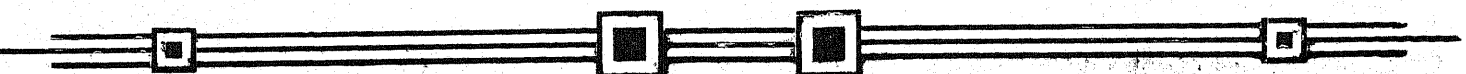


Relikwie św. Stanisława Kostki w Łodzi.



W dniu 2 lutego katolicka Łódź przeżyła podniosłą chwilę uroczystego wprowadzenia cząstki relikwii św. Stanisława Kostki do Katedry pod wezwaniem tegoż Świętego. Relikwie te zostały przywiezione z Rzymu przez J. F. ks. biskupa Tymienieckiego.

Fot. A. Meyer.



Teatrja

Z teatrów stołecznych. — Wiktor Hugo i meteorologia. — Przegląd zagraniczny.

W teatrach warszawskich zapanowało ostatnimi czasy iście karnawałowe ożywienie, zapoczątkowane bodaj przez Teatr Polski znakomitą wystawieniem „Sługi dwóch panów” — Goldoni’ego, o czym pisaaliśmy obszerniej w poprzedniej kronice.

Obecnie mamy do zanotowania przede wszystkim oddawna oczekiwaną premierę opery Ludomira Różyckiego p. t. „Beatrix Cenci”, która nie zawiodła pod żadnym względem nadziei, związanych z nazwiskiem naszego znakomitego kompozytora. Na wstępie zaznaczyć należy, że libretto oparte zostało na potężnym dramacie Słowackiego, z zachowaniem zupełnej wierności i ścisłości wybranych fragmentów poetyckiego tekstu. Nieśmiertelnym walorem słowa wieszczą odpowiada potęgą nastroju muzyki Różyckiego, związanej nie mechanicznie, lecz — organicznie w harmonijną całość z librettem. Bogactwo inwencji melodyjnej i dobór środków muzycznego wyrazu, stanowiących giętkie narzędzie w ręku kompozytora, czynią z „Beatrix Cenci” dzieło wyjątkowej wartości, które nawsze umieścić należy wśród najcenniejszych klejnotów naszej twórczości operowej.

Niemniej interesujące widowisko, choć z innej dziedziny artystycznych natchnień i z innej epoki wzięte, zapowiada Teatr Narodowy. Od lat 15 nie grani w Warszawie „Zbójcy” Schillera ukażą stolicy swe romantyczne i wspaniałe oblicze ze sceny dawnych „Rozmaitości”. Całość obejmie 13 obrazów, do których p. Drabik zaprojektował 7 nowych ram dekoracyjnych. Wśród obsady ról głównych widnieją nazwiska pp. Węgrzyna (Karol), Brydzińskiego (Franciszek), Chmielińskiego (Stary Moor), Jarszewskiej (Amelja), Zielińskiego (Daniel) i t. d. O tem wznowieniu „Zbójców”, które zresztą posiadać będzie raczej charakter galowej premiery, w najbliższej przyszłości pomówimy oczywiście obszerniej.

Teatr Mały wystąpił niedawno z premierą niegranej dotychczas w Polsce komedji Maksyma Bontempelli’ego p. t. „Nasza Boginka”. Bontempelli, usiłujący w swej twórczości scenicznej iść śladami Pirandella, niejednokrotnie schodzi na — manowce, jak się to zwykle zdarza z tymi, którzy nie chcą, czy nie mogą szukać drogi własnej.

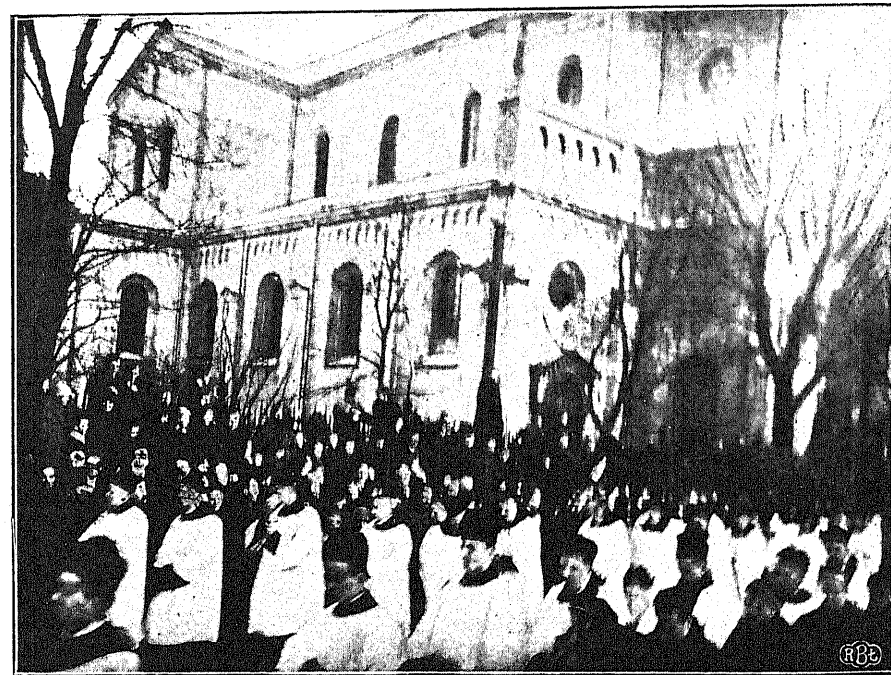
Jeśli chodzi o „Naszą Boginkę”, zamierzał tu autor udowodnić scenicznie, że nie treść stanowi o istocie rzeczy, lecz pozór, że ten pozór właśnie jest wszystkim, co nadaje treści sens, wygląd, wagę i znaczenie. Mówiąc bardziej zrozumiale, wyprowadził Bontempelli w dobrze pomyślanej ekspozycji na scenę

jakąś abstrakcyjną istotę żeńską, której całkowita treść psychiczna zmienia się od „a” do „z” zależnie od włożonego — stroju. Ten — może dość ciekawy — ale mało przekonujący i rozwleczone aż na 4 akty pomysł autorski daje oczywiście znakomite pole do popisu aktorce w roli tytułowej — grającej, mówiąc ściśle, kilkanaście ról w jednej i tej samej sztuce. A mimo ten popis aktorski, wykonany z maestrią przez taką artystkę, jak p. Przybyłko-Potocka, sztuka Bontempelli’ego, niedość głęboka, a zbyt pretensjonalna, znalazła w prasie ocenę bardzo chłodną, gdzieśniedzie nawet ironiczna i kostyczna.

Ruchliwy teatrt firmowy „Cwiłkińskiej i Fertnera” wystawił amerykańską krotkochwile Glassa „Potasz i Perlmutter”, grana

znakomitą artystką dramatyczną Julietta Drouet było jedną z tych podstaw psychologicznego spokoju i równowagi, które przyczyniły się do potężnego rozkwitu twórczości wielkiego pisarza. Obecnie — jak opowiadają czasopisma francuskie — biografowie Wiktora Hugo, szperający wśród listów jego oraz Julietty Drouet, natrafili na wielką trudność przy ustaleniu pamiętnej daty zaręczyn autora „Nędzników” i p. Drouet, gdyż w listach ich data ta wspomniana jest parokrotnie, a niejednokowo, jako 17, 18, 19, 20 lutego (1833 r.). Jeden z pomyslowych biografów, chcący dotrzeć do prawdy, postanowił skorzystać z pewnej wskazówki w korespondencji; mianowicie w jednym z listów pisze Wiktor Hugo, że w owym pamiętnym dniu zaręczyn „deszcz

Z uroczystości wprowadzenia relikwii św. Stanisława Kostki do Katedry.



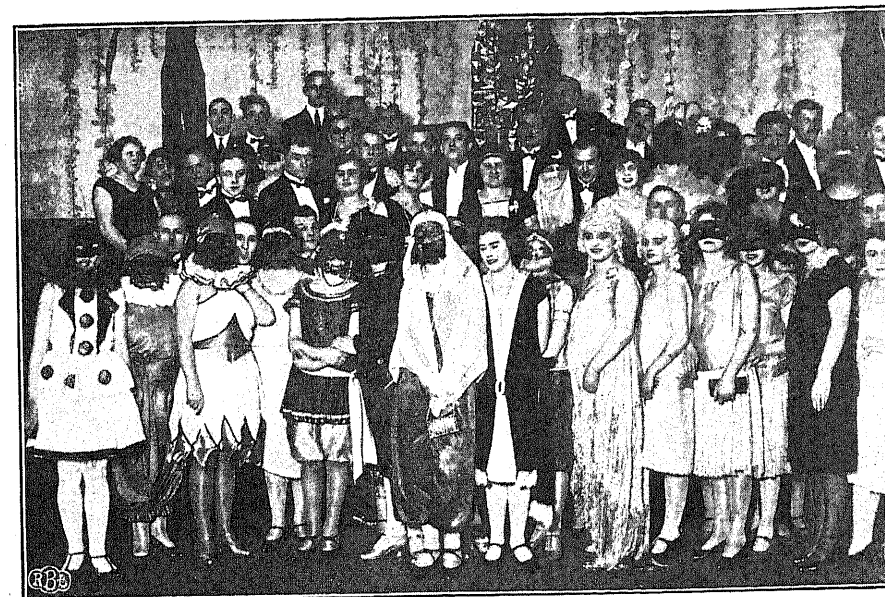
Tłumy wiernych formują procesję przed kościołem św. Krzyża. Fot. A. Meyer.

w swoim czasie w Łodzi, za dyrekcji p. Z. Noskowskiego. Krotkochwila ta, nieco już przestarzała, posiada treść zaczerpniętą z business’owego świata nowojorskiego ghetta, a naszelnemi jej osobami są wspólnicy: Potasz i Perlmutter. Trochę sentymentu, sporo sytuacji zręcznych i zabawnych — czynią sztukę p. Glassa możliwą do wystuchania, oczywiście pod warunkiem że role „bohaterów” znajdują takich wykonawców, jak p. Fertner i Skonieczny, na co sobie może pozwolić jedynie teatr, o którym właśnie piszemy.

Szczęśliwe małżeństwo Wiktora Hugo z

padła ulewny”. Wytrwały biograf, a raczej biografka, p. Vaché, idąc po nitce do kłębka, zwróciła się do państwowej instytucji meteorologicznej z zapytaniem, czy nie dałoby się — z odpowiednich notatek i roczników — ustalić, którego z dni 17 — 20 lutego 1833 r. padał deszcz ulewny. Ku radości p. Vaché, nadeszła wkrótce odpowiedź, że data „ulewnego deszczu” t. j. zaręczyn p. Wiktora Hugo, był dzień 20 lutego. Zatriumfowała wytrwałość biografki, skąd zresztą należy wnosić, iż dzięki badaniom meteorologicznym, możemy nietylko przepowiadać pogodę, albo urodzaje, lecz

KARNAWAŁ W ŁODZI.



W dniu 5 b. m. w sali Miłośników Muzyki w Grand Hotelu odbył się Bal Bankowców. Zdjęcie przedstawia grupę uczestników zabawy. Fot. A. Meyer.



W dniu 1 lutego odbyła się w salach Filharmonji maskarada Łódzkiej Straży Ogniowej p. n. „Noc w Japonii”. Fot. A. Meyer.

również — ustalać zapomniane szczegóły biograficzne w życiu własnym lub cudzym.

Skoro wspomnieliśmy dziś — nieco wyżej — o Pirandellu, zanotujemy, iż trupa dramatyczna głośnego pisarza (który prowadzi własny teatr w Rzymie) odbywa obecnie tournée po Europie Środkowej. Niedawno odbyły się trzy przedstawienia w Pradze Czeskiej, następnie zaś powtórzono je w Wiedniu. Wśród wystawianych sztuk figuruje również — „Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora”. W wywiadach z dziennikarzami wiedeńskimi Pirandello oznajmił, że pracuje obecnie nad czterema nowymi utworami dramatycznymi, z których jeden oparty jest na tematach mitologicznych. Pracowitość i płodność autorska Pirandella, który przekroczył już 60-kę, nie są zaiste tuzinkowe.

W tych dniach zmarł w Hiszpanji sędziwy Eugenio Selles, autor szeregu głośnych w swoim czasie dramatów („Wezeł gordyjski”, „Wieża z Talavere”, „Żona Lota” i in.). Wstręt, jakiego nabral Selles do pióra i pisania w późniejszych latach swego życia, stał się wprost anegdotyczny. Dość powiedzieć, że od kilkunastu lat Selles nietylko porzucił wszelką pracę literacką, ale nawet nie odpowiadał na listy, depesze itp., słowem „nie miał się pióra” w najbardziej ścisłym i literalnym znaczeniu tego wyrazu.

Delta.



25-letni jubileusz
proboszcza parafji Szczawin
ks. Andrzeja Rogozińskiego.



Dnia 23 ub. m. proboszcz parafji Szczawin, ks. Andrzej Rogoziński obchodził 25-letni jubileusz kapłaństwa. Uroczystość rozpoczęła się wprowadzeniem procesjonalnym przez zebrane duchowieństwo i wiernych dostojnego Jubilata z plebanji do kościoła. Przed wielkim ołtarzem podniosła mowę do Jubilata i wiernych wygłosił Ks. Ojciec Bączek. Sumę celebrował Jubilat, podczas której kazanie ze zwykłą sobie swadą wygłosił Ks. Turek, Gwardjan z Łągownik.

Na uroczystość tę zjechało się sporo osób z Łodzi i okolic, tak duchownych, jak i świeckich.

Po skończonem nabożeństwie Jubilat podejmował u siebie gości, którzy prócz składanych życzeń wystąpili z całym szeregiem okolicznościowych upominków.

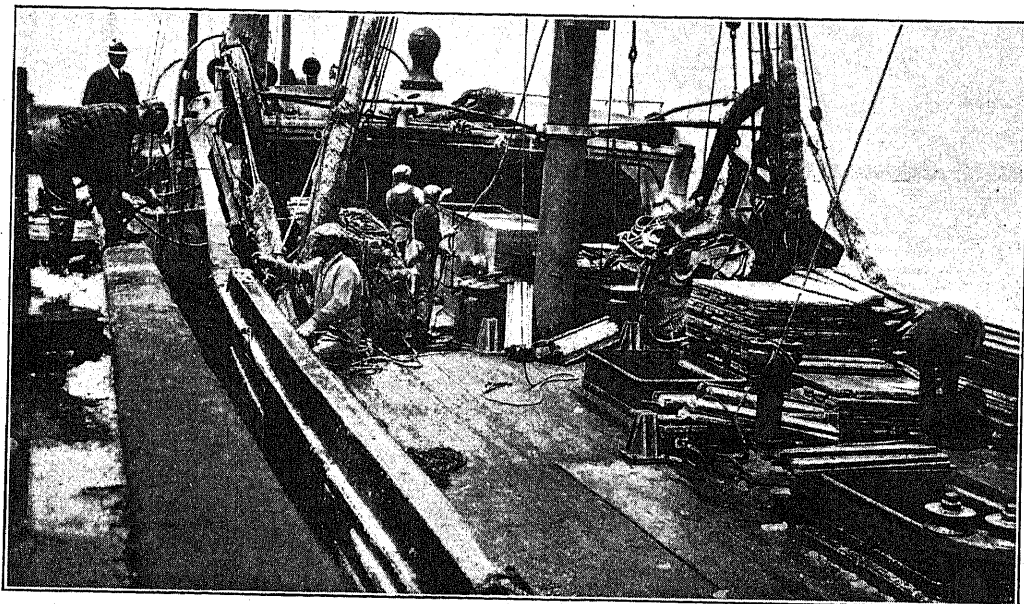
Z ŻALOBNEJ KARTY.



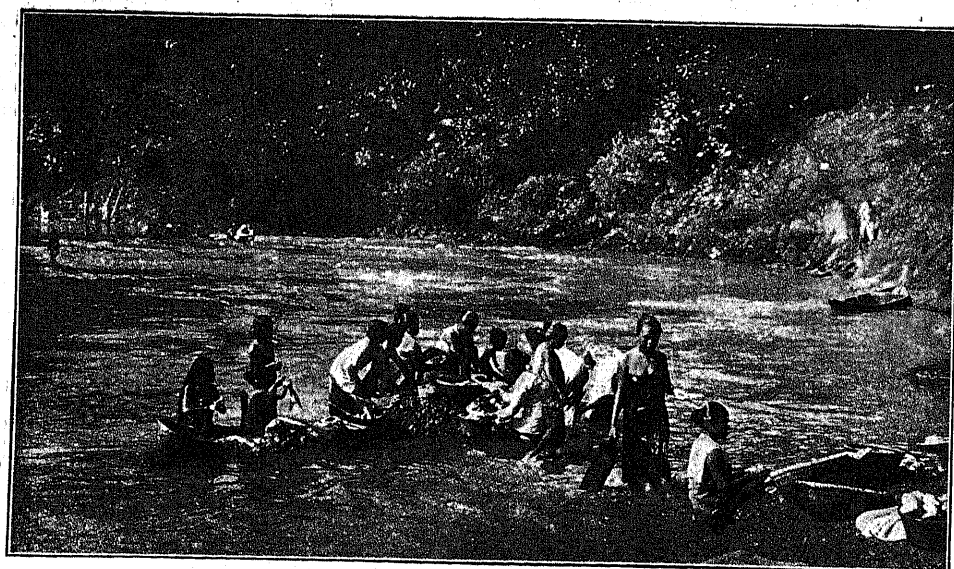
Ś. p. Marja Szeliga, redaktorka „Ogniska”, literatka, wybitna działaczka na wychodźstwie we Francji, zmarła w ubiegłym miesiącu.



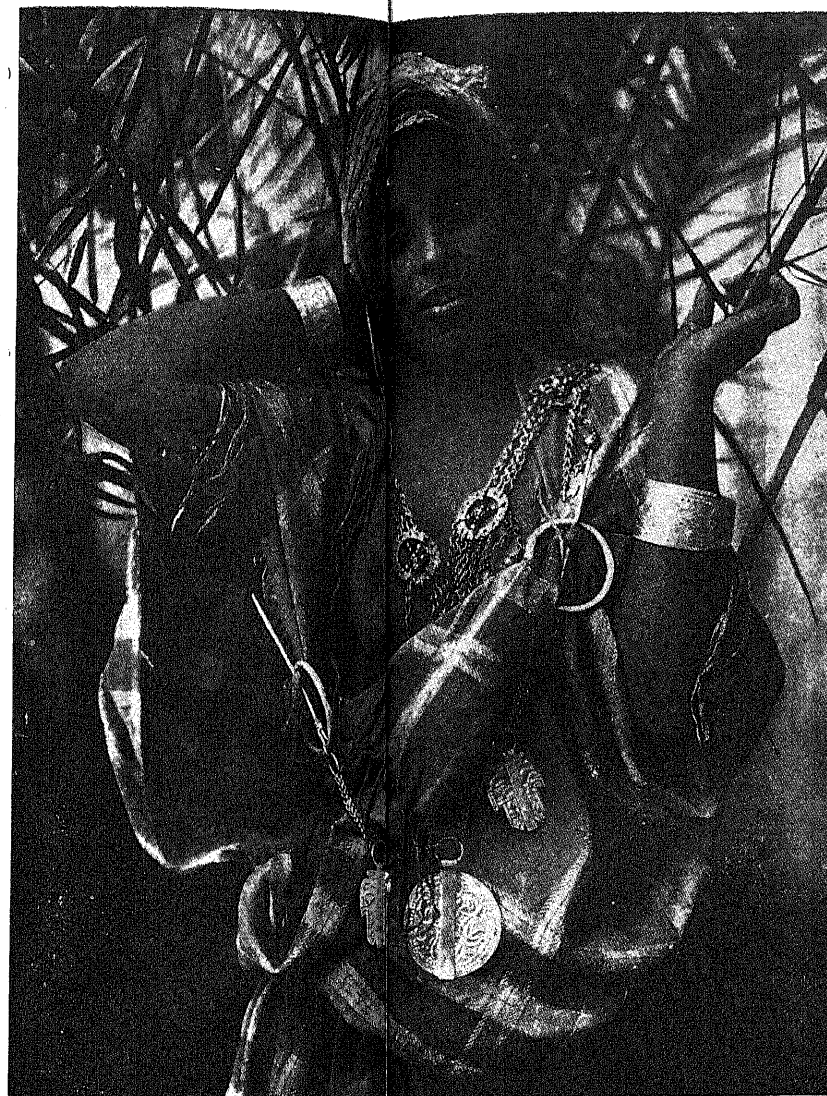
Nauka przyrody i zgłębianie tajemnic natury u narodów obcych. Odrzonymi ogrod botaniczny w Buitencorg, przeznaczony dla praktycznych zajęć młodzieży studjującej.



W porcie bostońskim. Statek rybacki przed wyruszeniem na połów.



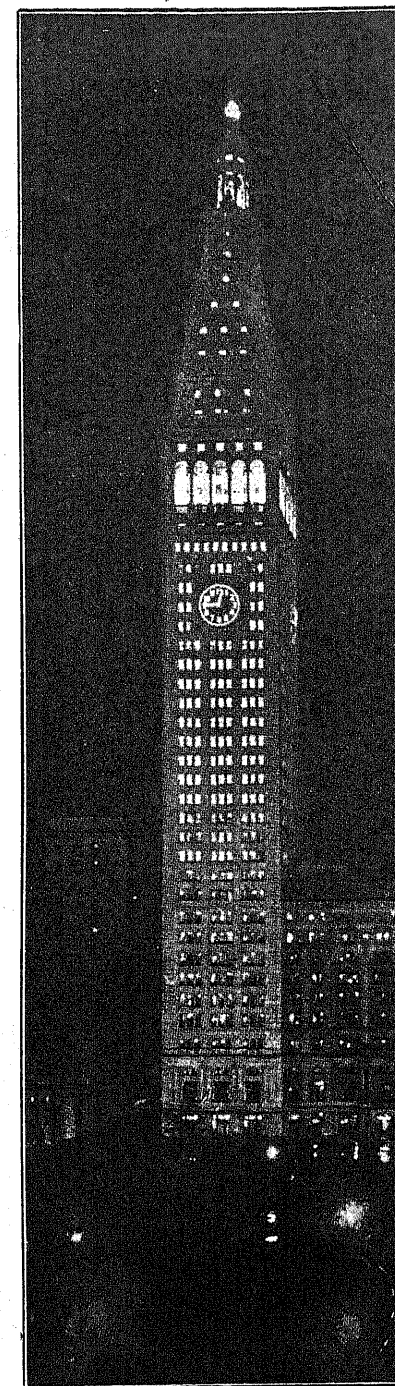
Jawajki przy praniu bielizny.



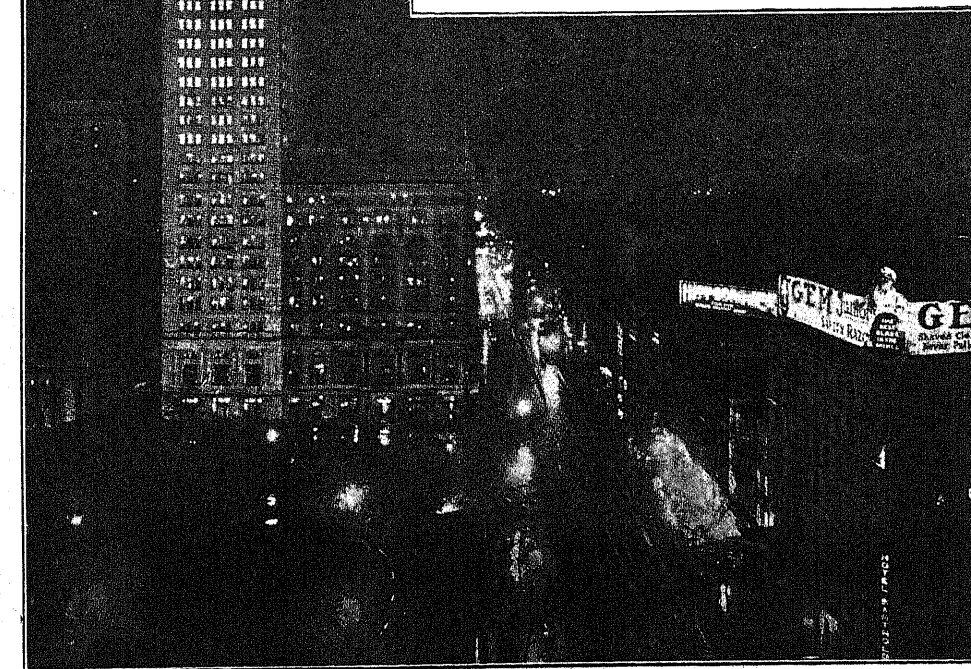
W kulcie ciemności Terpsychory. Bedonki z zamiłowaniem poświęcają wolne chwile sztuce choreograficznej. Zdjęcie nasze przedstawia uroczą tańcerkę bedonkijską w klasycznej nymficy „Anitry“.



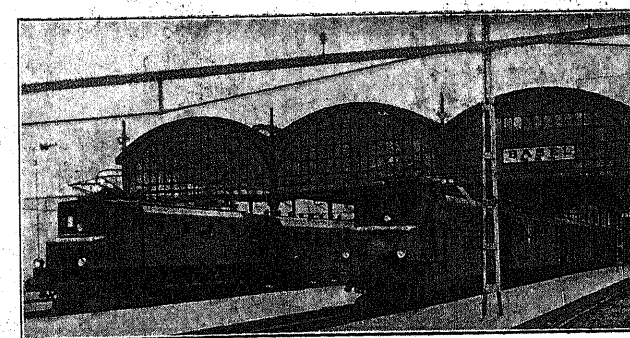
Ogólny widok na Nowy Jork.



Drapacz chmur w Ameryce.



Nowy Jork w nocy.



Szwajcaria jest krajem najbardziej zelektryfikowanym. Na zdjęciu dworzec kolejowy w Bazylei.

Zakopane zimą.



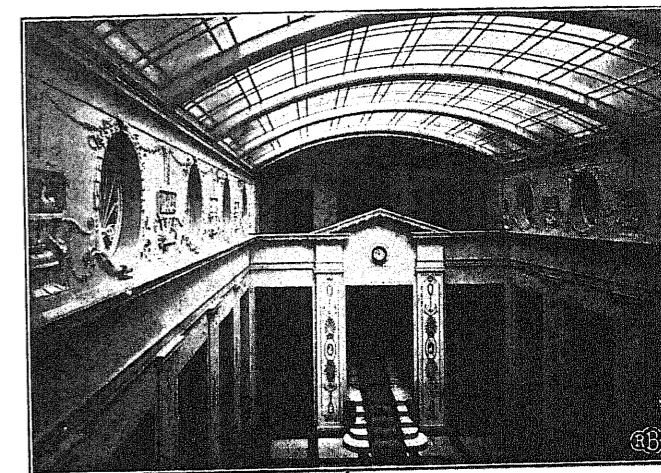
Zimowa stolica Polski, Zakopane, nigdy bodaj nie cieszyło się tak wielką frekwencją kuracjuszków, jak w roku bieżącym. Liczbę ich podwajają licznie przybywające wycieczki miłośników sportu. Na Lipkach, które przedstawia nasze zdjęcie, snują się codziennie rzesze młodzieży sportowej.

Na saneczkach.



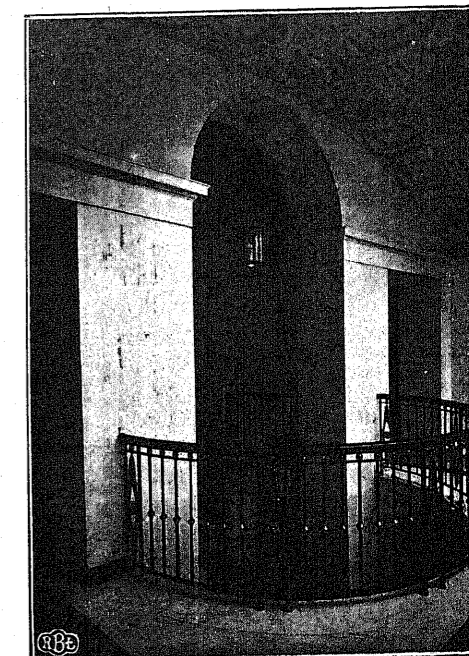
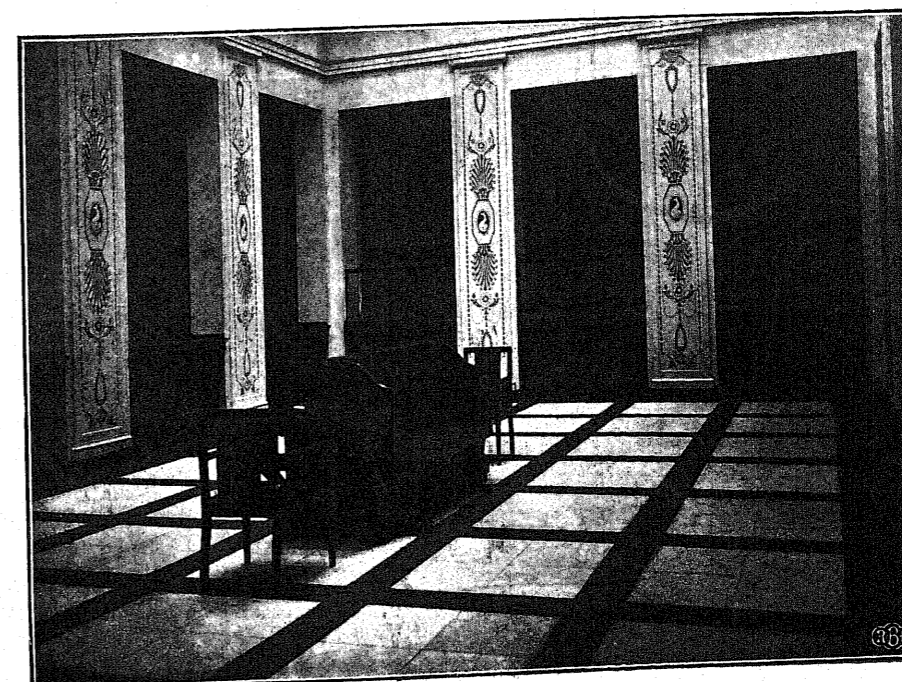
Sport nie znosi różnic. Wielcy i mali, młodzi i starzy, wszyscy zażywają rozkoszy saneczkowania na grubych pokładach górskiego śniegu.

Bank Spółek Zarobkowych w Poznaniu.
Oddział w Łodzi.



Dzięki usilnym staraniom miejscowej dyrekcji Banku Spółek Zarobkowych, Oddział w Łodzi, w osobach jego naczelnego dyrektora p. A. Legisa oraz dyrektora p. J. Jabłkowskiego, placówka ta uzyskała własny gmach przy ulicy Sienkiewicza 24, który po odpowiednim remoncie przedstawia się bardzo ładnie, wprost okazale. Jak to widać z załączonych ilustracji, gmach ten został ściśle dostosowany do wymogów Banku z uwzględnieniem podziału co do poszczególnych czynności bankowych, jak to: skarbiec, kasa, ekspedycja, buchalterja, dyrekcja i t. d.

Zdjęcie I-sze z lewej strony przedstawia ogólny widok gmachu, zdjęcie II-gie — fragment wejścia do dyrekcji, zdjęcie III-cie — fragment sali ogólnej, w miejscu gdzie znajdują się kasy i zdjęcie IV-te — fragment połączeń lokalu parterowego z lokalem I-go piętra.



Bohaterka.

Gdy byłem chłopcem dwunastoletnim, do naszego domu przychodziła co wtorek stara krawcowa, którą nazywaliśmy „matką Dzwoneczkiem“, i reparaowała bieliznę.

Była to wysoka, szczupła kobieta, o siwych, gładko przyczesanych włosach, kulająca tak silnie, jak nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy widzieć. Gdy stawała na swej zdrowej nodze, wyrastała dziwnie — a gdy opuszczała się na karykaturalnie skrzywioną kończynę, zagłębiała się, jak łódka, spływająca z grzbietu fali. Chód jej przypominał rozkołysany dzwon, i temu zawdzięczała swój przydomek.

Matkę Dzwoneczek uwielbiałem poprostu. Gdy tylko zabierała się do pracy w pokoju szafowym, wkładałem się tam za nią, siadałem na krzeselku i słuchałem historii, które mi chętnie opowiadała.

Matka Dzwoneczek miała wyjątkowo dar słowa, a sposób, w jaki zapatrywała się na życie, sposób prosty, szczerzy i prawy, dziwnie trafiał do wyobraźni i duszy dziecięcej.

Pewnego ranka wtorkowego biegłem więc, jak zazwyczaj, do starej krawcowej, i uchyliłem już drzwi do jej pokoju — gdy nagle stanąłem jak wryty. Koło krzeselka na ziemi leżała matka Dzwoneczek, twarzą do podłogi, trzymając w wyciągniętej sztywno ręce koszulę, którą reparaowała. Okulary leżały o kilka kroków dalej.

Z przeraźliwym krzykiem pobiegłem po rodziców. Wezwano doktora i stwierdzono zgon starej krawcowej.

Z żałości ścisnąłem serduszkami ukrytym się w salonie za wielkim molierowskim fotelem, aby się tam wypłakać do woli. Po chwili usłyszałem kroki rodziców i doktora, ale wstydząc się mych niemieckich łez, skuliłem się jeszcze bardziej i siedziałem cicho.

Rozmowa, którą wtedy toczono, wyrwała się w mej pamięci tak dokładnie, że mogę ją powtórzyć prawie dosłownie.

Po kilku pochwałach zmarłej pracownicy i uzalaniach się nad jej samotną śmiercią, doktor zaczął opowiadać.

— Trzeba państwu wiedzieć, że ta kobieta była pierwszą moją klientką w tem mieście. Złamała nogę w dniu mego przybycia i zostałem wezwany tak gwałtownie, że nawet nie zdążyłem okurzyć się po wyjściu z dylizansu.

Miała wtedy siedemnaście lat i była piękna, wyjątkowo piękna. Historji tej nie opowiadałem nigdy nikomu, i nie zna jej nikt prócz mnie i jeszcze jednej osoby, której oddawna niema w okolicy. Dzisiaj, kiedy matka Dzwoneczek już nie żyje, mogę to państwu opowiedzieć — gdyż nie przyniesie zmarłej uszczerbku.

W czasie, o którym mówię, przyjęty został do szkoły pomocnik nauczyciela. Był to przystojny, zgrabny chłopiec o figurze i ruchach oficera, i wkrótce dziewczęta z całej okolicy biegały za nim, nie bacząc

na jego obojętność. Sądzę, że główną przyczyną tej obojętności młodego chłopca była obawa przed jego zwierzchnikiem, panem Grabu, surowym, szorstkim i często zagniewanym.

U pana Grabu pracowała wtedy piękna Hortensja i reparaowała bieliznę, tak jak u państwa. Pomocnik nauczyciela zajął się piękną dziewczyną, a ona czuła się dumna z tego wyróżnienia nieprzystępnego bożyszczą dziewcząt. Miłość pochłonięła jej skrupuły i zgodziła się na spotkanie po skończonej pracy na strychu szkolnym.

Gdy wychodziła wieczorem od pana Grabu, zamiast na dół wbiegła po schodach na górę i usiadła na złożonym na strychu sianie, oczekując na młodzieńca. Wkrótce zjawił się i pięknymi słowy rozpoczął uwodzenie, ale przerwał mu skrzyp drzwi.

— Co pan tu robi? — rozległ się głos sterczego Grabu.

Przeżony i zmieszany młodzieniec wybełkotał:

— Wszedłem tu trochę odpocząć na sianie, panie Grabu.

Strych był rozległy i zupełnie ciemny. Młodzieniec popchnął swą wybrankę w głąb, szepcąc

— Schowaj się, ukryj, bo stracę posadę przez ciebie.

Nauczyciel usłyszał szepc i spytał powtórnie:

— Chyba pan tam nie jest sam?

— Ależ tak, drogi panie.

— To czemu pan coś mruczy?

— Nic podobnego!

— Ano, przekonamy się! — zawyrokował stary Grabu, zamknął drzwi na klucz i poszedł po świecę.

Wtedy młodzieniec zupełnie stracił głowę i w napadzie tchórzostwa z wściekłością zbliżył się do dziewczyny:

— Schowaj się, zniknij wreszcie! Przez ciebie stracę chleb, czy nie rozumiesz? Nie mogą cię tu zastać, bo będę zgubiony!

Na schodach rozległy się ponowne stapania. Hortensja pobiegła do okienka, wychodzącego na ulicę, otworzyła je i przyciszonym, zdecydowanym głosem, który nawet nie zdrzął, powiedziała:

— Proszę przyjść mnie podnieść, jak już będzie można.

Bez namysłu wysunęła się przez niewielki otwór i skoczyła.

Stary Grabu nie znalazł na strychu nikogo i, jak niepyszny, powrócił do mieszkania.

W kwadrans po tym wypadku młody nauczyciel przybiegł po mnie. Dziewczyna leżała pod murem, niezdolna poruszyć się po upadku z wysokości drugiego piętra. Poszliśmy po nią i przynieśli do mego mieszkania.

Prawą nogę miała złamaną w trzech miejscach, i odłamki kości przebiły ciało. Nieszczęsna nie skarżyła się nawet, tylko powtarzała z rezygnacją:

— Jestem ukarana, słusznie ukarana.

Wezwałem rodziców dziewczyny i opowiedziałem im zmyśloną bajkę o rozpedzonym wozie, który przejechał ją przed moim domem. Uwierzono mi, i policja w ciągu dwóch miesięcy szukała nadaremno występnego woźnicy.

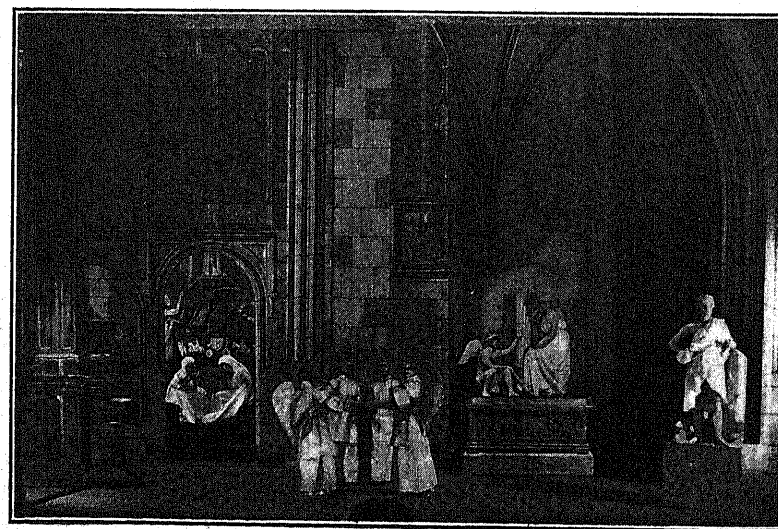
Zaiste, ta dziewczyna była bohaterką, z tego pięknego typu cichych bohaterek, których czyny uwiecznione są na kartach historii.

To była jej jedyna miłość. Umarła dziewczyna, wierna bolesnemu wspomnieniu. Podziwiam ją i poważam, tę cichą ofiarnicę, i tylko dlatego opowiedziałem państwu historję jej życia.

Doktor umilkł. Matka moja płakała, ojciec wzruszony, milczał.

Skulony wciąż jeszcze za fotelem, usłyszałem miarowe ciężkie stapania na schodach. Łzy znów potoczyły mi się po policzkach. To znosili ciało matki Dzwoneczka.

Tłum. Ir.



„Akropolis“ — St. Wyspiańskiego na scenie krakowskiej.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 20 lutego 1927 roku.

Nr. 8.

Piękno zimy na kliszy fotograficznej.



Z okazji jubileuszu 10-letniego istnienia Łódzkiego Klubu Mitożników Fotografji w dniu 12 b. m. w Mjejskiej Galerji Sztuki otwarta została pierwsza ogólnopolska wystawa fotografji artystycznej, posiadająca około 400 pięknych prac, z których między innymi wyróżnia się fotografia powyższa p. n. „Zima“ A. Pradeego.